



# Z TAŚMOTEKI ROZGŁOŚNI POLSKIEJ RWE DR JÓZEF GARLIŃSKI (1913–2005)

**Konrad TATAROWSKI (Uniwersytet Łódzki)**

Z Józefem Garlińskim spotkałem się w połowie października 1991 roku, podczas kilkudniowej wyprawy reporterskiej do Londynu, w czasie której zbierałem materiały do mojej cotygodniowej audycji „Polscy twórcy na emigracji”, nadawanej w Rozgłośni Polskiej RWE. Mieszkał w dzielnicy Wimbledon, w pobliżu słynnych kortów tenisowych. Miałem też w tamtych dniach przyjemność poznać Stefanię Kossowską, Irenę Bączkowską, Krystynę i Czesława Bednarczyków, Stanisława Frenkla. Wszyscy są już dziś po drugiej, niewidzialnej stronie.

Rozmowy, które przeprowadzałem z bohaterami moich radiowych audycji, związane były ściśle z jej tematyką. Miały charakter biograficzno-informacyjny (okoliczności opuszczenia Polski, droga życiowa poszczególnych twórców na uchodźctwie), służyły też przybliżeniu ich emigracyjnej twórczości, jej specyfiki i miejsca w całościowym twórczym dorobku. Rozmowy te, nadawane najczęściej we fragmentach, stanowiły wiodący składnik audycji, wzbogacanych z reguły o reprezentatywne teksty, bądź omówienia emigracyjnej twórczości ich bohaterów.

Tekst przytoczonej niżej rozmowy spisuję z oryginalnego nagrania, pomijając niewielkie fragmenty, zawierające powtórzenia bądź konwersacyjne wtręty, niemające merytorycznego charakteru. Rozmowa wykorzystana była w dwu audycjach z cyklu „Polscy twórcy na emigracji”, poświęconych pisarstwu Józefa Garlińskiego, nadanych w programie Rozgłośni Polskiej RWE 9 i 16 listopada 1991 roku. W przypisach i dopiskach, zamieszczonych w nawiasach, podaję informacje uzupełniające.

## Rozmowa z dr Józefem Garlińskim

**Konrad W. Tatarowski:** *Urodził się Pan przed zakończeniem I Wojny Światowej w Kijowie. Co zapamiętał Pan z dzieciństwa?*

**Józef Garliński:** Właśnie ukazują się w Polsce książka *Świat mojej pamięci*<sup>1</sup>. Rewolucję przeżyłem w Kijowie. Widziałem Niemców wkraczających do Kijowa, pamiętam też gdy Denikin, biały generał, wkroczył do tego miasta i jak witano go radośnie i spontanicznie. Wtedy cała burżuazja schroniła się w Kijowie, bo przez jakiś czas rządili tam Niemcy; były tam otwarte sklepy, wszystko funkcjonowało.

Pamiętam też polski marsz na Kijów, w moje rodzinne strony (wieś Pikowiec, koło sienkiewiczowskiej Machnówki) — jak tamtędy, kiedyśmy tam byli z moim starszym o rok bratem, już nieżyjącym, przeszedł zagon polskiej kawalerii, którym dowodził generał [Jan] Romer, a jego adiutantem był nasz ojciec<sup>2</sup>. I potem w Koziatyniu — to była duża, węzłowa stacja — w pięknej, oszklonej hali dworcowej był bankiet, polsko-ukraiński, na kilkaset osób. Jak spod ziemi pokazali się Polacy, polska szlachta, bo 88% własności ziemskiej, na zachód od Dniepru, było w rękach polskich. To był wspaniały polsko-ukraiński bankiet, który będę pamiętał do końca życia. Oczywiście, to była krótka chwila zwycięstwa, ale wielka!

Do Polski przedostaliśmy się z rodziną dopiero po wojnie polsko-sowieckiej, po polskim zwycięstwie. Dopiero w grudniu 1920 roku znaleźliśmy się po raz pierwszy na ziemiach polskich. W Kijowie moja rodzina mieszkała przez kilka wieków.

*Gdzie Państwo zamieszkaliście w Polsce po przyjeździe?*

Na samej granicy, najpierw w Ostrogu, a potem w Zdułbynowie, gdzie były baraki dla tak zwanych *bieżeńców*, tych którzy uciekli z Rosji do Polski przez „zieloną granicę”. To był grudzień, pełnia księżyca, Horyń wylał, lód na kilometr w prawo i w lewo, hałas straszliwy kilkunastu osób — ale nikt nas nie gonił, dlatego, że strażnicy sowieccy byli opłaceni, a po polskiej stronie już byli polscy żołnierze.

To wszystko było w gruzach. Warto to dziś przypomnieć: I Wojna Światowa i wojna polsko-sowiecka zostawiły nasze wschodnie ziemie w gruzach. Tylko murowane kominy zostały, drewniane domy wszystkie zostały spalone. Był głód, w tym Zdułbynowie były baraki dla uchodźców — podobne pamiętam z Oświęcimia. Tak to mniej więcej wyglądało, i taka była ilość żywności i insektów. To była bieda z nędzą.

*Potem były lata szkolne. Gdzie Pan się kształcił?*

Z moich wspomnień można się dowiedzieć, jak wyglądały szkoły w Polsce. Przeszedłem przez wiele szkół — najpierw szkołę powszechną w Warszawie, od 1921 roku, a potem wyjechałem do Rakowic pod Krakowem, do zakładu Ojców Pijarów. To był koniec 1921 roku — nikt tego nie pamięta, że wtedy w Krakowie czy we Lwowie był ruch lewostronny, tak zresztą jak w całym imperium Habsburskim. Potem uczyłem się u Ojców Jezuitów w słynnym Chyrowie<sup>3</sup>, który niestety obecnie znajduje się po stronie sowieckiej.

W czwartej klasie poszedłem do Korpusu Kadetów nr 3 w Rawiczu, na zachodzie, na granicy polsko-niemieckiej. W Rawiczu trzy lata straciłem z powodu choroby płuc.

<sup>1</sup> J. Garliński, *Świat mojej pamięci — wspomnienia*, Warszawa 1992.

<sup>2</sup> Jarosław Garliński, major kawalerii WP, w 1940 r. więziony w Starobielsku, zamordowany przez NKWD, prawdopodobnie w Charkowie.

<sup>3</sup> Elitarne gimnazjum przy Zakładzie Naukowo-Wychowawczym Ojców Jezuitów w Chyrowie niedaleko Przemyśla (działające w latach 1886–1939) ukończyli między innymi wybitni pisarze: Ksawery Pruszyński, Kazimierz Wierzyński, Jan Brzechwa, Andrzej Rostworowski.

Kontynuowałem naukę, przez dwa lata następne, w sanatoryjnym gimnazjum w Zakopanem — a maturę zdawałem dopiero w 1934 roku w Kaliszu. Bardzo serdecznie wspominam Kalisz, to było bardzo przyjemne miasto. Mieszkało tam 49% Żydów i nie było tam antysemityzmu.

*Tam, zdaje się, podejmował Pan pierwsze próby literackie?*

Tak. Będąc w siódmej klasie gimnazjum zostałem redaktorem pisma „Sztubak”, a rok później udało mi się doprowadzić do połączenia naszego pisma z konkurencyjnym „Świttem”, ukazującym się w drugim kaliskim gimnazjum. Byłem redaktorem naczelnym tego nowego pisma, które nazywało się „Czyn i słowo”. Drukowałem wtedy trochę wierszy i prozy, której potem pozostałem wierny.

*A co Pan studiował?*

Prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Była to kontynuacja tradycji rodzinnej, mój ojciec był prawnikiem. Wojna wybuchła, kiedy byłem na czwartym roku studiów. Byłem wtedy podporucznikiem rezerwy I Pułku Szwoleżerów [Warszawskiej Brygady Kawalerii]. Poszedłem na front — wróciłem ranny. Udało mi się wydostać ze szpitala pod komendą niemiecką, wróciłem do Warszawy i zaangażowałem się w działalność podziemną. Byłem szefem bezpieczeństwa Komendy Głównej AK w chwili aresztowania, ale jeszcze wcześniej zdążyłem ukończyć IV rok prawa na tajnym uniwersytecie w Warszawie.

*W którym roku został Pan aresztowany?*

W kwietniu 1943 roku. Muszę się tu przyznać do tego, że jako szef bezpieczeństwa Komendy Głównej AK nie powinienem równocześnie studiować na tajnym uniwersytecie. Ale z drugiej strony, uważam to za moje największe osiągnięcie wojenne. Bo wszystkie ordery, odznaczenia, mają dziś znaczenie sentymalne. A dzięki temu magisterium, które uznał mi Uniwersytet Londyński przy trzech świadkach, mogłem zrobić doktorat z nowoczesnej historii. I mam tytuł doktora filozofii tylko dzięki temu wojennemu magisterium.

*Jak wyglądały Pana losy po aresztowaniu?*

Trafiłem na Pawiak. Poszukiwano Tadeusza Garlińskiego, inżyniera-elektryka, którego sprawa była w moich rękach. Należał on do grupy, która wyrabiała tajne aparaty w firmie holenderskiej Philips. Innych aresztowano, on uciekł i poszukiwano go. Mnie wydał w ręce Gestapo mój kolega z gimnazjum, wiedząc, że nazywam się Garliński, ale nie wiedząc, czym zajmuję się w podziemiu.

W śledztwie, kiedy wynikło, że poszukują Tadeusza Garlińskiego, nic przeciwko mnie nie mieli. Ale wykryli, że jestem oficerem rezerwy, że jestem studentem Uniwersytetu Warszawskiego. Zatem — idealny pacjent do Oświęcimia. I dlatego tam się znalazłem — w ramach ogólnego terroru, próby zastraszenia narodu polskiego, co było wielkim psychologicznym błędem Niemców. Bo Polaków w ten właśnie sposób złamać nie można. W każdy inny sposób można — byli zdrajcy, można Polaków przekupić, można namówić na inną ideologię, można pokłócić między sobą — ale nie można złamać frontowym atakiem.

*A zatem znalazł się Pan w Oświęcimiu...*

Przez pół roku byłem w Oświęcimiu w karnej kompanii, nie wiadomo dlaczego, ale jakos udało się przeżyć. Potem formowano nowy transport — Niemcy ciągle potrzebowali ludzi do fabryk zbrojeniowych. W ten sposób trafiłem do obozu w Neuengam-

me pod Hamburgiem, z potem do jego różnych filii, gdzie już było znacznie lepiej niż w Oświęcimiu, bo to nie był obóz śmierci, ale koncentracyjny, gdzie trzeba było pracować. Pod koniec wojny, w ewakuacyjnych obozach, fabryki dawały nam nawet nieco więcej żywności — bo płaciły SS za każdego więźnia i chciały mieć z jego pracy pożytek. Można więc było przeżyć, o ile człowiek nie zachorował. Ja zachorowałem na tyfus, będąc już trzy tygodnie na wolności.

*Po wyzwoleniu przyjechał Pan do Anglii. Tutaj się Pan doktoryzował, no i zaczął systematyczną pracę pisarską. Znaczna część pańskiej twórczości to literatura wspomnieniowa i historyczna.*

Dwie moje książki wspomnieniowe, dotyczące II Wojny Światowej, to *Dramat i Opatrzność* [I wydanie, Londyn 1961] i *Matki i żony* [I wydanie, Londyn 1962], teraz zresztą ukazały się po angielsku.

Przede wszystkim jednak jestem historykiem dokumentalistą. W 1959 roku wydałem książkę *Politycy i żołnierze*. Ukazała się też ona po angielsku. Doczekała się ona bardzo pozytywnej recenzji w „Sunday Times”. Jej recenzent, profesor Michael Food, skontaktował się ze mną przed wydawcą i poznaliśmy się. Zaproponował mi on napisanie doktoratu z historii. Dzięki zeznaniom trzech świadków, jeden z londyńskich uniwersytetów uznał moje magisterium na tajnym uniwersytecie w Warszawie. I tak w 1973 roku, mając 59 lat, obroniłem pracę doktorską o ruchu podziemnym w Oświęcimiu<sup>4</sup>.

Ukazała się ona potem po angielsku, pod tytułem *Fighting Auschwitz* [1975], miała ona pięć wydań angielskich i dwa wydania amerykańskie, wydanie popularne miało 200 tysięcy nakładu. Wyszło też wydanie francuskie. Dzięki temu bestsellerowi wydawniczemu mogłem stać się zawodowym pisarzem. Przedtem byłem inspektorem Towarzystwa Ubezpieczeń, męczyłem się strasznie, choć nieźle zarabiałem, bo mnie to nie interesowało.

I nagle przyszły pieniądze, nie tyle, żebym się od nich zbiesił, jak mówią Rosjanie, ale mogłem pozwolić sobie na to, by porzucić ubezpieczenia — mój syn był już wtedy dorosły, więc na takie ryzyko mogliśmy sobie pozwolić — i to się stokrotnie opłaciło. Potem wydałem po angielsku *Ostatnią broń Hitlera* [I wydanie polskie, Londyn 1977, angielskie i amerykańskie, *Hitler's Last Weapons*, 1978], opublikowaną również w Ameryce, w Niemczech i oczywiście po polsku. Potem dostałem propozycję napisania książki o enigmie, o złamaniu niemieckiej maszyny do szyfrowania przez polskich kryptoanalityków<sup>5</sup>. Była tu wersja, że zrobili to Brytyjczycy. Moja książka nie była pierwsza<sup>6</sup>, ale była jakąś rewelacją.

*Ta książka wzbudziła tu dużo zainteresowania...*

Olbrzymie. Powiedziano w niej wyraźnie: Polacy złamali sekret enigmy. Co prawda Brytyjczycy to wykorzystali — myśmy nie mogli tego wykorzystać, bo znajomość faktu, że leci na nas trzy tysiące samolotów niemieckich, nie zmieniało sytuacji. Myśmy nie mogli się obronić. Również Francuzi nie skorzystali z tego. Wcześniej wyszła książka

<sup>4</sup> W 1973 r. w London School of Economics and Political Science, Józef Garliński obronił pracę doktorską, *Underground Movement in Auschwitz Concentration Camp*.

<sup>5</sup> J. Garliński, *Intercept. Secrets of the Enigma War*, London 1979; *The Enigma War*, London–New York, 1980. Pełne wydanie krajowe: *Enigma. Tajemnica II Wojny Światowej*, Lublin, 1999.

<sup>6</sup> W 1973 r. były szef francuskiego wywiadu, Gustaw Bertrand, pisał o wkładzie polskich matematyków w rozpracowanie niemieckiej maszyny szyfrującej w książce *Enigma, czyli największa tajemnica II Wojny Światowej*.

brytyjskiego historyka, z mottem: *Polacy zasiali, Brytyjczycy zebrali plon*. Napisał uczciwie. Potem była moja książka, z załącznikiem Tadeusza Lisickiego, w którym przy pomocy matematycznych wzorów — patrzę na nie z przerażeniem, bo nie mam o tym zielonego pojęcia — przedstawił, jak złamanie szyfrów enigmy dokonano.

*Potem dalej zajmował się Pan historią II Wojny Światowej...*

Zaproponowano mi zajęcie się działalnością siatki międzynarodowych wywiadów w Szwajcarii w czasie II Wojny Światowej. To była następna książka, *The Swiss corridor* [Londyn, 1981]. Ukazało się też jej polskie wydanie [Paryż, 1987, Warszawa, 1991] A następną książkę, *Polska w Drugiej Wojnie Światowej* [Londyn, 1982], sponzorował Wojtek Fibak, znany wszystkim w Polsce, z którym przyjaźnię się, choć jest młodszy od mego syna. Byłem pierwszym człowiekiem, który grał z nim na trawie, kiedy przyjechał tu jako junior. Wziąłem go wtedy do mego klubu tenisowego i pierwszy raz na wimbledońskiej trawie Fibak grał ze mną. Wojtek to jeden z najwybitniejszych przedstawicieli swego pokolenia, i najlepszy ambasador polskości — wraz ze swoją śliczną żoną, Ewą.

Książka ta ukazała się w wielkiej firmie brytyjskiej Mc Millan [1985], która wydaje tysiąc książek rocznie, ukazało się też wydanie popularne. Wydałem też dokumentalne opracowanie materiałów wywiadu więziennego Komendy Głównej AK, aż do Powstania Warszawskiego [*Niezapomniane lata. Dzieje Wywiadu Więziennego i Wydziału Bezpieczeństwa Komendy Głównej Armii Krajowej*, Londyn 1987, Warszawa, 1993]. Siódma moja książka to wspomnienia wojenne, *The survivor of love. Memoirs of a Resistance Officer* [Basil Blackwell, UK — USA, 1991], zwycięstwo miłości, która ukazała się też po polsku.

*Ma Pan też jednak w dorobku powieść, Ziemia [Londyn 1964], utwór o wartkiej, wręcz kryminalnej akcji. Dlaczego nie pozostał Pan przy literaturze pięknej?*

Ta powieść nawet się rozeszła, ale wtedy się przekonałem, że jeżeli będę powieściopisarzem, to będę jednym z wielu, i to niekoniecznie najlepszym. Natomiast pozostając przy literaturze dokumentalnej, konfrontując polskie sprawy z Zachodem, badając tajemnice tamtego okresu, mam większą szansę, że zachodni wydawca tym się zainteresuje. Trzeba być wybitnym, znanym pisarzem, by zachodni wydawca zechciał ją wydać, zwłaszcza, jeżeli to jest tłumaczenie.

Wobec tego uznałem, że muszę pisać w oryginale, że muszę zostać historykiem, wyrobić sobie nazwisko i łączyć polskie sprawy z Zachodem. Wtedy nasza historia najnowsza może być tam znana. I ten plan mi się powiódł. Otworzyłem zachodni rynek dla tych spraw. Poza książkami profesora [Piotra] Wandycza w USA, dwoma pozycjami profesora [Janusza] Zawodnego i jedną książką [Jana] Karskiego, nie ma takich książek.

*Przekłady Pana książek zajmują całą półkę w bibliotece w salonie, w którym rozmawiamy. Czy łatwo było dostać się na rynki zachodnie?*

To nie są tylko przekłady. Oprócz pierwszej książki, pozostałe pisałem po angielsku, przy pomocy mojej żony. Oczywiście były poprawiane. Dwujęzyczność jest szalenie trudna. Znam tylko jednego dwujęzycznego pisarza — Jerzego Pietrkiewicza, wyjątkowo utalentowanego poetę. Piszę jednak w oryginale, bo wydawcy tutejsi nie lubią przekładów. A poza tym każdy język ma swoją melodię, swój sposób myślenia.

Brytyjczycy na przykład, i Amerykanie, są pragmatykami. Nie uznają — na przykład — „moralnych zwycięstw”. To jest pojęcie zrozumiałe dla Polaka, Francuza czy Włocha.

Więc pisząc w języku obcym, w którym chce się wydać książkę, wpada się w rytm, w styl, w sposób myślenia odbiorcy. Na przykład książka o *Polsce w II Wojnie Światowej* ma w wydaniu angielskim i polskim inne konkluzje o Powstaniu Warszawskim.

W wydaniu polskim brzmi ona następująco: „nie tylko ilością poległych i mogli mierzy się walor Powstania Warszawskiego. Pamięć o Powstaniu, dzięki kultywowaniu tradycji walki, pozwoliła Polakom przetrwać najcięższy okres stalinizmu”. W angielskim wydaniu piszę inaczej: Powstanie Warszawskie było zrywem polskim, którym Polacy chcieli pokazać Zachodowi, że walczą o swoją niepodległość. Że teza sowiecka — że Polacy „stoją z bronią u nogi” i czekają, aż przyjdzie Armia Czerwona, by się za nich bić — jest fałszywa. Że Zachód popełnił błąd, pozostawiając Polskę w strefie wpływów sowieckich, bo za to drogo będzie musiał zapłacić. I rzeczywiście, była zimna wojna, która trwała ponad czterdzieści lat.

*To ciekawe, co Pan mówi, to przypomina, że cały czas trzeba pamiętać o odbiorcy, do kogo się pisze. Jakich argumentów używać, by były zrozumiałe. A odbiorca w Polsce i na Zachodzie to jednak trochę dwa różne byty...*

Oczywiście. Chodzi o to, by książka odniosła sukces. No bo nawet jeżeli wydawca to wyda, a okaże się to cegłą, to cały cel ćwiczenia jest błędny. Dostanie się na obcy rynek jest szalenie trudne. W Wielkiej Brytanii ukazuje się rocznie około 50 tysięcy nowych tytułów. A wielkie pisma codzienne i niedzielne drukują tygodniowo, czasami raz, czasami dwa razy w tygodniu, w czwartki i w soboty, około 15 recenzji. Mieć recenzję w takim piśmie to jest wielkie osiągnięcie. Mnie się udało, że moja ostatnia książka miała recenzję w „New York Times”, w jego literackim dodatku. Dostałem potem z USA kilkadziesiąt listów, od zupełnie obcych ludzi, którzy dowiedzieli się o książce dzięki tej recenzji. [...]

Przebić się na tym rynku, bez agenta, jest niezmiernie trudno. Agent orientuje się, który z około 500 wydawców w Wielkiej Brytanii, może się książką zainteresować.

*Czy Pan korzysta z usług agenta?*

To jest paradoksalne, ale miałem dwóch agentów, którzy mnie zawiedli. I w sytuacji, kiedy rekomenduję usługi agentów, wydałem siedem książek bez ich pośrednictwa. [...]

Ale wracając do poprzedniego wątku, przebić się na tym rynku jest bardzo trudno. Często występuję w brytyjskiej telewizji jako historyk II Wojny Światowej, jako były Oświęcimiak. To szalenie pomaga. Nazwisko. Przez to jest łatwiej. Ale żeby się dostać na obcy rynek, trzeba bardzo ciężko o to walczyć. [...]

*Przechodząc do innych sfer Pana aktywności, chciałby na koniec spytać o „Pamiętnik Literacki” i pańską działalność jako Prezesa Związku Literatów Polskich na Obczyźnie. Jest Pan redaktorem naczelnym tego pisma, które wymieniłem, pisma bardzo użytecznego i ważnego dla osób interesujących się literaturą emigracyjną. Sam do niego często sięgam, zwłaszcza do biogramów twórców i omówień ich pisarstwa. Jest to obecnie jedyne chyba tego typu wydawnictwo, które systematycznie zajmuje się literaturą emigracyjną.*

Prezesem Związku Literatów Polskich na Obczyźnie zostałem dawno. Byłem wiceprezesem za kadencji Kazimierza Sowińskiego. Przejąłem jego funkcje jeszcze za jego życia, w 1976 roku, kiedy dostał udaru. Potem zostałem wybrany na to stanowisko i do tej pory je sprawuję. Po śmierci Sowińskiego przejąłem jego myśl, której on nie był w stanie zrealizować — wydawania „Pamiętnika Literackiego”, który będzie prezentować osiągnięcia polskiej literatury i kultury poza granicami kraju.

Tytuł nienowoczesny, bo ukazuje się też takie pismo w kraju, ale wydał nam się odpowiedni. Pierwszy tom ukazał się pod koniec 1976 roku. Początkowo zawierał on tematykę dość przypadkową, od 4-go numeru zaczęliśmy poświęcać każdy tom jakiemuś głównemu zagadnieniu. Na przykład nagrodzie Nobla — kiedy Miłosz ją dostał, poezji na emigracji, polskim pisarzom, którzy wybili się w obcych językach, bibliotekom polskim poza krajem, odbiorem polskiej kultury we Włoszech, etc. W każdym tomie są też artykuły niezwiązane z głównym tematem.

Współpracujemy, to ciekawostka, z dwoma profesorami z Chin. To, co publikują, to bardzo ciekawe materiały. Chiny przed I Wojną Światową były spenetrowane przez państwa Zachodnie. Chińczycy byli zainteresowani krajem, który walczy o wolność — stąd powodzenie Sienkiewicza w Chinach. Tłumaczono go z niemieckiego lub angielskiego. I dlatego artykuły o literaturze polskiej na terenie Chin, o polskich noblistach, są z tamtej perspektywy bardzo interesujące.

Oprac. KWT